

<http://www.radiopomost.com/index.php?option=news&task=viewarticle&sid=5827#>

LIPNA REWOLUCJA

13-08-2006

“Pomarańczowa rewolucja” na Ukrainie z końca 2004 r. i początku 2005 r., była “lipną rewolucją”, ale Zachód, z Polską włącznie, wzięli ją za autentyczną, która wreszcie miała po raz któryś z rzędu przynieść 48-milionowemu krajowi naprawę pełną niepodległość i suwerenność, a nie tylko pozorowaną, jak to było dotąd. Dlaczego jednak “po raz któryś”? Dlatego, że Ukraina, jeszcze jako radziecka republika, jakoby wybijała się na niepodległość i suwerenność już wcześniej, ale jakoś niezupełnie do końca i dopiero “pomarańczowa rewolucja” raz i na zawsze miała dopiąć celu.

Co się tyczy tych wcześniejszych prób wybicia się na suwerenność i niepodległość, to pierwszą było uchwalenie 16 lipca 1990 r. “Deklaracji o Suwerenności” przez Radę Najwyższą Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Nieco wcześniej podobne deklaracje uchwały już republiki uzbecka i rosyjska, ale republika ukraińska poszła niby dalej w swojej Deklaracji od tamtych.

Gwoli ścisłości, Konstytucja ZSRR z 7 października 1977 r. w Art. 76 stwierdzała, że “Związkowa Republika” (wśród 15-tu republik ZSRR była i ukraińska republika) jest suwerennym radzieckim państwem socjalistycznym”, które zgodnie z Art. 73 Konstytucji “na swoim obszarze sprawuje samodzielnie władzę państwową”(podkreślenia moje; ZMR). Mimo to, republika ukraińska (pewnie zgodnie z poleceniem z Moskwy), postanowiła wybić się na “pełną suwerenność”, ale z zaznaczeniem, żeby uniknąć nieporozumień, że będzie ona w “ramach ZSRR”. Na dowód tego, “suwerenna” republika ukraińska, nie tak jak sześć innych, nie zbojkotowała przeprowadzanego w ZSRR 17 marca 1991 r. referendum, w którym wszystkie republiki miały się wypowiedzieć, czy chcą nadal pozostać w “jego ramach”. “Suwerenni” Ukraińcy wypowiedzieli się na “tak” i na tym może byłby koniec, gdyby w Moskwie nie wydumano, że istniejący ZSRR należy rozwiązać, dopóki nie znajdzie się czegoś bardziej odpowiedniego dla sprostania wyzwaniom współczesności. A ponieważ udawano, że rozpadanie się ZSRR jest żywiołowe, więc w sierpniu 1991 r. zainscenizowano w Moskwie “pucz”, który miał położyć kres żywiołowemu rozpadowi związkowego państwa. “Pucz” jednakże jakoś dziwnie rozplątał się, a w konsekwencji tego rozpad ZSRR, oczywiście z góry zaplanowany, tylko się pogłębił. Jednym z jego objawów, nie jedynym zresztą, było uchwalenie 24 sierpnia 1991 r. “Aktu Niepodległości” przez Radę Najwyższą Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Od tego momentu “suwerenność” Ukrainy została więc wzmocniona jeszcze “niepodległością”. A że “niepodległa” Ukraina nie miała własnej armii, policji bezpieczeństwa, dyplomacji i wielu innych atrybutów niepodległego państwa, to już było mniej ważne. Wszystko to miało przyjść w “odpowiednim czasie” i istotnie przyszło. W czasie bowiem wyborów prezydenckich na Ukrainie 1 grudnia 1991 r., przeprowadzono jednocześnie referendum, w którym wyborcy mieli zatwierdzić lub odrzucić sierpniową decyzję Rady Najwyższej USRR o niepodległości republiki. Decyzję wyborcy zatwierdzili, a w siedem dni później przywódcy trzech “słowiańskich” republik, rosyjskiej, ukraińskiej i białoruskiej, spotkali się (ponoć potajemnie) w gajówce w Puszczy Białowieskiej, postanawiając utworzyć

WNP, Wspólnotę Niepodległych Państw, jak i rozwiązać ZSRR. Decyzję "słowiańskiej trójki" poparły następnie inne republiki na spotkaniu w Ałma-Ata 21 grudnia, w konsekwencji czego WNP miała zastąpić ZSRR. Tak też stało się i ZSRR oficjalnie przestał istnieć 25 grudnia 1991 r. Do WNP weszło początkowo jedenaście b. republik radzieckich, z Ukrainą włącznie, ale w 1993 r. przystąpiła do niej jeszcze Gruzja i tak powstała do dziś istniejąca "Dwunastka" (trzy b. republiki bałtyckie do WNP nie weszły).

Od tego momentu "niepodległa" Ukraina jako tako egzystowała przez następne trzynaście lat, aż do prezydenckich wyborów w listopadzie-grudniu 2004 r., kiedy to okazało się, że coś z tą "niepodległością" nie jest tak jak trzeba. W rezultacie tego - tak przynajmniej to wyglądało - starły się dwie tendencje: "prorosyjska" i "nacjonalistyczna", zwana też "niepodległościową"

Pierwszą tendencję reprezentował ówczesny premier Wiktor Janukowicz, rosyjskojęzyczny Ukrainiec, słabo mówiący po ukraińsku, zwolennik ścisłych więzów z Rosją, jak wszyscy inni jemu podobni ze wschodniej i południowej Ukrainy (niezależnie od Ukraińców w tej części kraju żyje także 12 milionów rdzennych Rosjan).

Drugą tendencję reprezentował Wiktor Juszczenko, b. premier oraz przywódca partii "Nasza Ukraina", podobnie jak Janukowicz rosyjskojęzyczny i "wschodni" Ukrainiec, ale płynnie mówiący po ukraińsku, uważany za "zachodniaka" i "nacjonalistę" (za "zachodniaka" pewnie dlatego, że jego druga żona jest Amerykanką ukraińskiego pochodzenia).

W wyborach 21 listopada 2004 r. nieznacznie zwyciężył jednakże Janukowicz (w ukraińskiej transkrypcji pisany "Janukowycz"), ale "nacjonałiści-niepodległościowcy" z Juszczenko i Julią Timoszenko, albo Tymoszenko, wnuczką radzieckiego marszałka, nie dali za wygraną. Janukowicza i jego Partię Regionów oskarżyli o sfałszowanie wyborów i odwołali się do "ulicy", żeby wybory powtórzyć. "Ulica" apel podjęła i raptem w centrum Kijowa, "na Majdanie", znalazły się tłumy protestujących przeciwko Janukowiczowi. Kto te tłumy, szacowane na 200 tysięcy, żywił, zaopatrzył w pomarańczowe wstęgi i flagi oraz namioty, gdyż protesty trwały tygodniami, a ich uczestnicy pochodzili naogół z zachodniej Ukrainy, jak też zaopatrzył tego do dziś nikt nie wyjaśnił. Faktem jest jednakże, że w efekcie tych protestów doszło do unieważnienia wyborów i powtórzenia ich 26 grudnia 2004 r. Na popularność Juszczenki wpłynęła też plotka, że ktoś, najpewniej Rosjanie, chcieli go czymś otruć, co im się nie udało, aczkolwiek twarz mu bardzo zeszpecili. Dodatkowo na jego popularność wpłynęło też otwarte demonstrowanie przez Moskwę sympatii dla Janukowicza.

W każdym razie, w powtórzonych wyborach dość znacznie zwyciężył Juszczenko, ale tym razem Janukowicz oskarżył go o sfałszowanie wyborów. Nic z tej skargi jednak nie wyszło i 23 stycznia 2005 r. Juszczenko został zaprzysiężony jako trzeci już prezydent Ukrainy. Misję stworzenia rządu powierzył 44-letniej Timoszenko, przywódczyni partii "Batkiwszczyna". I tak tym samym "pomarańczowa rewolucja" dobiegła końca. W trakcie jej trwania świat miał niełada widowisko ze skutego mrozami

Kijowa. Kogo tam nie było! Polski prezydent Kwaśniewski jeździł tam aż dwa razy, żeby godzić zwaśnione strony, jeździł też b. prezydent Wałęsa, który potem przechwalał się, że Ukrainę wybawił od... wojny domowej! Jeździł też Xavier Solana, niby minister spraw zagranicznych Unii Europejskiej, a tylko Rosja zachowywała względnie dużą rezerwę wobec widowiska, najlepiej pewnie wiedząc o co w nim chodziło...

“Pomarańczowa rewolucja”, po tym jak już wypaliła się, zaczęła szybko wyrodnieć, podobnie jak wszystkie inne rewolucje w historii, a co najważniejsze, ludziom zaczęło się żyć coraz gorzej. Za rządów Janukowicza tempo rozwoju kraju, po długotrwałym spadku produkcji po rozpadzie ZSRR, a potem zastoju, zaczęło przekraczać 12 procent rocznie. Pensje i emerytury rosły, podczas gdy za rządów Juszczenko-Timoszenko tempo rozwoju spadło niemal do zera, na wszystko zaczęło brakować pieniędzy (nawet na comiesięczne uposażenia dla oficerów i bezpiekniaków) i w ogóle gospodarkę ogarnął chaos. Częściowo wynikało to także stąd, że Rosja, głównie drogą zaniżonych cen dostarczanego Ukrainie gazu ziemnego, dofinansowywała jej gospodarkę w wysokości co najmniej 2 miliardów dolarów rocznie. Po wyborach prezydenckich, Rosja, która może nawet chciała takiego ich wyniku, choć na zewnątrz demonstrowała co innego, podniosła ostro w górę cenę gazu ziemnego. Co więcej, silnie rozbudowany na Ukrainie w czasach radzieckich przemysł zbrojeniowy, mający rynek zbytu w Rosji, po wyborach jakby zaczął go tracić. W tej sytuacji, pokonany w prezydenckich wyborach Janukowicz, szybko zaczął zdobywać popularność i było już pewne, że wkrótce powróci znów na scenę polityczną. Okazją do tego były marcowe wybory 2006 r. do 450-mandatowej Rady, odpowiednika polskiego Sejmu (Senatu nie ma na Ukrainie).

Zachód, w tym i Polska, były bezradne w obliczu nowopowstałej i dość dziwnej sytuacji na Ukrainie. Z jednej strony bowiem “pomarańczowa Ukraina” opowiadała na prawo i lewo, że chce zostać członkiem NATO i Unii Europejskiej, ale z drugiej strony odwołała z Iraku swój 1.600-osobowy kontyngent wojskowy, decyzja raczej niezrozumiała w tych okolicznościach.

Na domiar złego, koalicja Juszczenko-Timoszenko zaczęła się chwiać i ostatecznie pękła we wrześniu 2005 r., kiedy to Juszczenko pozbawił “księżnę rewolucji” premierowskiego fotela. Ba, w styczniu br. Rada zdymisjonowała z kolei rząd premiera Jurija Jeruchanowa i w takim rozgardiaszu Ukraina 26 marca poszła do parlamentarnych wyborów. Nie wchodząc w ich szczegóły, zwycięsko z nich wyszła Partia Regionów Janukowicza, ale nie na tyle, żeby móc samodzielnie rządzić, a nawet wspólnie z partią komunistyczną, nadal silną na Ukrainie. Klęskę w wyborach poniosła natomiast “Nasza Ukraina”, partia Juszczenko, zdobywając tylko 14 procent głosów, mniej niż zdobyła partia “Batkiszczyzna” Timoszenko, która uplasowała się na drugiej po Partii Regionów pozycji. W tym układzie sił, Juszczenko musiał więc pogodzić się z Timoszenko, która też tego chciała, ale za cenę przywrócenia jej premierostwa. Stało się to możliwe, po tym jak do formującej się koalicji przystąpiła SPU, socjalistyczna partia.

Jednakże, ze względów niejasnych do dnia dzisiejszego, Aleksander Moroz, przywódca SPU, 6 lipca br. wycofał się raptem z koalicji i dołączył do Janukowicza, co pozwoliło mu stworzyć koalicję trzech partii, mających większość w Radzie.

Juszczenko, w obliczu nowopowstałej sytuacji, miał dwie alternatywy. Pierwszą było rozwiązanie Rady i zarządzenie do niej nowych wyborów. Do tego był nawet konstytucyjnie zobowiązany ze względu na niemożność wyłonienia rządu w ciągu 60 dni od wyborów do Rady. Drugą było zaakceptowanie rządu koalicyjnego z Janukowiczem na czele, czemu kategorycznie sprzeciwiała się Timoszenko i... Zachód, USA w szczególności.

Ani z jednej, ani z drugiej alternatywy Juszczenko nie skorzystał. Natomiast, ku osłupieniu swoich zwolenników i sojuszników, Timoszenko w pierwszym rządzie, jak i Zachodu, 3 sierpnia br. Juszczenko poszedł z Janukowiczem na "Wielką Koalicję", której bazą ma być "Uniwersał Jedności Narodowej", którego treści nie podano wcześniej do publicznej wiadomości. Rzecz jasna, Janukowicz został zaraz premierem i już w poniedziałek 7 sierpnia przystąpił do tworzenia nowego rządu, wydarzenie podwójnie ważne, gdyż pozycja prezydenta ma być zgodnie z wcześniej zapowiedzianymi poprawkami do konstytucji poważnie osłabiona, podczas gdy premiera wzmocniona.

I oto stała się rzecz niesłychana! Dwaj polityczni sprzed dwóch lat przeciwnicy, a nawet wrogowie, raptem stali się sojusznikami! "Pomarańczowa rewolucja" wygląda w tej sytuacji nie tylko na niepotrzebną, ale wręcz na śmieszna!

Co zatem stało się, że tak to skończyło się, a nie inaczej?

Na ostateczne sądy jeszcze za wcześnie, gdyż brak jest wielu szczegółów tego niecodziennego wydarzenia, ale warto zapoznać się z komentarzami prasy rosyjskiej, która zapewne wie co pisze o Ukrainie, a nie zgaduje jak zachodnia i polska prasa.

A więc, rosyjski dziennik "Prawda" z 9 sierpnia br., w artykule o wydarzeniach na Ukrainie, zatytułowanym Ukraina-USA: zerwane show" ("Ukraina -SSzA: sorwannoje szou"), tak oto je komentuje:

"Administracja Busha nie jeden już miesiąc trzyma się, żeby nie dopuścić Janukowicza do władzy... Już wiele tygodni temu przekonała ona Juszczenko, żeby nie podpisywał porozumienia, które był on gotów zawrzeć, ze swoim prorosyjskim konkurentem. Ale w końcu ubiegłego tygodnia Bush... postanowił pogodzić się z jakimkolwiek demokratycznym rezultatem na Ukrainie, łącznie z powstaniem tam rządu, odrzucającego Zachód..."

Dalej "Prawda" pisze, że w ostatnich dniach weszła w posiadanie dokumentu, "przygotowanego przez pracowników amerykańskiej misji dyplomatycznej (gazeta nie precyzuje co to za misja; ZMR), który wręczono prezydentowi Ukrainy... w swojej istocie był on (dla niego) instrukcją polityczną".

Następnie "Prawda" szczegółowo wylicza punkty instrukcji, które charakteryzuje jako "walkę (Amerykanów) do końca". Gazeta podaje też informację, za prasą ukraińską, że 21 czerwca br. wiceprezydent USA R. Cheney telefonował do Juszczenko, "żądając (od niego) odrzucenia sojuszu z "regionalami" (czyli z Janukowiczem).

Nie powtarzając zawartych w "Prawdzie" wielu innych informacji i komentarzy na temat ostatnich wydarzeń na Ukrainie, można tylko ogólnie powiedzieć, że USA były bardzo w nie zaangażowane, od "pomarańczowej rewolucji" zaczynając, którą jakoby finansowały, a na ostatnich rewelacjach kończąc. USA bowiem bardzo zależało na tym, żeby "prozachodni" Juszczenko w niczym nie ustępował pola "wschodniemu", prorosyjskiemu Janukowiczowi.

Wszystko jednakże poszło wbrew amerykańskim nadziejom, co nie bez satysfakcji odnotowała "Prawda".

Jeśli istotnie tak było, jak to napisała "Prawda", to nasuwa się pytanie czy Juszczenko był naprawdę "prozachodni", jak to chciały widzieć USA?

Co do mnie, to nigdy nie miałem wątpliwości, że Juszczenko, oficer rezerwy wojsk pogranicznych b. KGB, nie był wcale tym, za kogo go na Zachodzie brano. Moskwa, która od rozpadu ZSRR śledzi usilnie próby USA mieszania się w sprawy wewnętrzne jego b. republik, które są w jej "strefie wpływów", wplątała je zapewne w chytrze zastawioną pułapkę. Jest bowiem oczywiste dla każdego, że gdyby USA i reszcie Zachodu udało się wciągnąć Ukrainę do NATO i Unii Europejskiej, to wcześniej czy później dni Rosji byłyby policzone. Żeby jednak mieć pewność, że USA i Zachód mają wobec niej nieprzyjazne intencje, Moskwa odegrała komedię z "pomarańczową rewolucją" i doprowadzeniem do władzy "prozachodniego" Juszczenko, choć oficjalnie popierała Janukowicza. Niepoślednią rolę w utwierdzeniu Zachodu, że Juszczenko jest naprawdę jego gorącym zwolennikiem, odegrali Kwaśniewski z Wałęsą, którzy jeździli do Kijowa w czasie "pomarańczowej rewolucji".

Prawda tymczasem była inna i dziś wiele wskazuje na to, że Juszczenko bardzo zręcznie odegrał swoją "prozachodnią" rolę, będąc w rzeczywistości w każdym calu wiernym Moskwie. Rola ta jeszcze nie skończyła się i możliwe, że Juszczenko jeszcze "wykręci" Zachodowi jakieś numery, które go będą utwierdzać w jego niby prozachodnich sympatiach. Ale to będzie potem, a teraz Juszczenko już swoje zrobił. Ukraina do NATO nie wstąpi w 2008 r., jak USA miały nadzieję, gdyż w tym roku właśnie ma się tam odbyć referendum, które z pewnością wypowie się na "Nie!" w tej sprawie. Do Unii Europejskiej też nie wstąpi, gdyż ani Unia tego teraz nie chce, ani Ukraina nie jest do tego gotowa. Zresztą, Janukowicz już mówi, że Ukraina wstąpi do Jednolitego Obszaru Gospodarczego, Jedinowo Ekonomiczeskawo Prostranstwa, który Rosja z Kazachstanem i Białorusią zaczęły tworzyć, a Ukraina za prezydentury Leonida Kuczmy (1994-2004), zobowiązała się też przystąpić do JOG. W tej sprawie Rada przyjęła nawet rezolucję, a Janukowicz już głosi, że tak właśnie się stanie. A wtedy definitywnie skończą się udawane flirty Ukrainy z Zachodem.

Skończą się też flirty i z Polską, chyba że obie strony tylko je udawały, gdyż kiedyś tak właśnie "nada było", ale teraz "nada po drugomu"...

Prof. Zdzisław Rurarz

13 sierpnia 2006 r.